

# Tłumacząc Hannah

Ronaldo  
Wrobel

Rio de Janeiro, lata 30. XX wieku.  
Pochodzący z Polski żydowski szewc  
zakochuje się w tajemniczej autorce listów,  
które zmuszony jest cenzurować.

BUKOWY LAS

Różowa kapa i poduszki przykrywały łóżko z rzeźbionego drewna. W kącie dwa wysokie fotele po bokach stolika, gdzie Hannah postawiła tacę.

– Herbaty?

Była w bordowym peniuarze, nieskalane oblicze, bez pudrów, które nakładają na siebie kobiety uwodzące mężczyzn. Uniosła filiżankę.

– *Le chaim!*

Wstążką związała włosy.

– Nie wiem, czego się pan spodziewa po tym spotkaniu, Max – powiedziała i poczekała bezskutecznie na odpowiedź.

Odstawiła filiżankę na spodeczek.

– Co do mnie, chcę tylko porozmawiać. Mam nadzieję, że się pan nie obrazi.

– A zatem będziemy... – odchrząknął – rozmawiać.

– Świetnie. Pojawił się pan wielokrotnie na mojej drodze. Dlaczego?

Max popił herbatę, żeby zyskać na czasie.

– Cóż... no przyszła pani do mojego sklepiku i... spodobała mi się pani.

Uśmiech Hannah wzbudził podejrzenie.

– I już?

– Tak.



Tłumaczac  
Hannah



Ronaldo Wrobel

Tłumacząc  
Hannah

przełożył z portugalskiego  
Wojciech Charchalis

BUKOWY  LAS

TYTUŁ ORYGINALU: *Traduzindo Hannah*

Copyright © Ronaldo Wrobel, 2010  
All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © for the Polish edition and translation  
by Dressler Dublin Sp. z o.o., 2021

ISBN 978-83-8074-318-2  
Nr 21000004

PROJEKT OKŁADKI: Mariusz Banachowicz, Paweł Cesarz  
FOTOGRAFIE NA OKŁADCE: © Olly/Shutterstock  
REDAKCJA: Bartosz Wawryszuk  
KOREKTA: Urszula Włodarska  
REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

Wydanie drugie

WYDAWCA:  
Wydawnictwo Bukowy Las  
ul. Sokolnicza 5/21, 53-676 Wrocław  
[www.bukowylas.pl](http://www.bukowylas.pl)

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:  
Dressler Dublin Sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32  
e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)  
[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)



DRUK I OPRAWA: Abedik S.A.

# Rozdział 1

*Rio de Janeiro, 1936 rok*

Prezydent Vargas, oprawiony w ramki na ścianie komisarjatu, nie spuszczał oka z Maxa. „Czego pan ode mnie chce?“, błagał go nieszczęśnik. Problem z pieczętkami, dokumentami, znaczkami? A on przecież zawsze taki uporządkowany i rozsądny. „Pilna audyencja”, wyjaśnił mu żołnierz, który przyszedł po niego do domu. Audyencja? U kogo? Dlaczego? Posadzili go przed ponad godziną w tym okropnym pokoju, bez choćby żalosznej szklanki wody.

Deportacja wisiała nad głowami tysięcy imigrantów, którzy uciekli przed wojnami, tyraniami, nędzą i mogli zostać odesłani z powrotem, gdyby nie okazali dość posłuszeństwa. I paradoks: tłumy przybywały rok w rok na plac Mauá, niektórzy w ogóle nie mieli pojęcia, co to za miejsce, bo przecież nigdy nie słyszeli o nim ani słowa. Dla większości Brazylii to były mokradła, gdzie rosły banany, a jadowite węże zniecka oplatały nogi.

Za drzwiami kroki i przytłumione głosy. Rutynowe działania w komisariacie: aresztowania, zatrzymania, przesłuchania. W 1935 roku próba komunistycznego zamachu stanu rzuciła

kraj w nigdy wcześniej niewidziane piekło. Pały roznosiły domy, biura, sklepy i wszystko, co majorowi Filintowi Müllero-  
wi, szefowi policji, choćby z daleka pachniało spiskiem. Sądy  
nadzwyczajne przeprowadzały procesy w trybie doraźnym,  
skazując bez ceregieli ani zwłoki zwykłych sądów. Więzienia  
od północy aż na południe były przepełnione. Nawet statki  
służyły za miejsca odosobnienia, bez celu dryfując po Atlan-  
tyku ze swoim patologicznym ładunkiem. Max wyobrażał już  
sobie siebie na pełnym morzu, jak jest wyzywany od *gringos*  
i je zimny ryż. Ale co on takiego złego zrobił?

Na ulicy Visconde de Itaúna był niemal niewidocz-  
ny w swoim warsztacie, który otwierał rano punktualnie  
o 7.00, żeby z zapamiętaniem przodków naprawiać buty  
w pobliżu placu Onze. Dziadek przypisywał to powoła-  
nie wędrownemu losowi rodziny: dobre buty pokonywały  
chłód i przestrzenie. A cóż innego ród żydowski robił przez  
ostatnie tysiąclecia, jeśli nie błądził po świecie albo walczył  
o odsunięcie w czasie następnego wygnania? Ile „pilnych  
audiencji” musieli przejść jego przodkowie w Rosji, w Hisz-  
panii czy w kraju Vargasa?

Nie, nie, Max nie posunął się do obarczania prezydenta  
winą za napięcia na tle narodowym. Jak wskazać przyczyny,  
skoro dookoła same konsekwencje. To świat się cofał, cią-  
gnąc za sobą Brazylię. Dla szewca Getúlio Vargas był jedynie  
służącym, mniej liderem niż człowiekiem prowadzonym na  
muszce lufy działa odlewanego przez wieki. Nikt oddzielnie  
nie mógł być obwiniany za ten problem ani nakłaniany do  
jego rozwiązania, bo pojawił się na długo, zanim Hitler pro-  
klamował swoje szaleństwa, a Stalin wymordował własnych  
sprzymierzeńców. Trudniej było wybaczyć projekty urba-  
nystyczne prezydenta. Całkiem niedawno mówiło się o wybudo-  
waniu wielkiej alei pomiędzy Arsenalem Marynarki i Nowym



Miastem, tym samym skazując na zagładę plac Onze. *Aj-waj*, trzeba jeszcze tylko wywrócić ziemię do góry nogami!

Stojący wentylator warczał nerwowo, a zegar wskazywał 16.30. Po raz pierwszy Max zamknął warsztat wcześniej. Co też powiedzą klienci, plotkarze, *klientelsziks*, którzy przychodzili, żeby go pozdrowić, albo idealisci ze swoimi szalonymi pomysłami? Komu przysłoby do głowy zamykanie szewca w komisariacie, wzywanie go na „pilną audiencję”? Wszyscy wiedzieli, że Max, zawsze daleki od kontrowersji, nie ma żadnych ideałów wyższych ponad swoje buty. Komunizm czy kapitalizm? Izrael czy diaspora? Jidysz czy hebrajski? Było mu wszystko jedno. Któregoś dnia zwyzywał jakiegoś komunistę w kombinezonie i berecie, który chciał go skaptować w jego własnym sklepie przy Visconde de Itaúna. Dźgał go palcem, krzycząc:

– Jeśli chcesz pan naprawiać świat, naucz się pan najpierw wiązać buty!

I przypomniał przypowiestkę rebego Zussia, który w młodości też chciał naprawiać świat, ale kiedy odkrył, że jest on tak wielki i złożony, ograniczył się do naprawiania własnego kraju. Ten też okazał się wielki i złożony, więc postanowił naprawić tylko swoje miasto. Gdy dojrzał, zaczął walczyć o naprawienie rodziny, a na łożu śmierci wyznał przyjacielowi: „Dziś mam nadzieję, że chociaż zdołam naprawić siebie”.

– To smutna historia – prychnął komunistą. – Z tego, co zrozumiałem, rebe Zussia stał się egoistą.

– Jest pan w błędzie! On ciągle chciał naprawić świat, ale zmienił taktykę.

Popołudnie, 17.00, słońce wpadające przez okno już nie oświetlało prezydenta Vargasa. Max przeżuwał modlitwę,

kiedy do pokoju wszedł korpulentny oficer. Wyciągnął rękę na powitanie.

– Jak leci, panie Kutner?

Był to kapitan Avelar, sporadyczny, ale serdeczny klient szewca. Nosił czerwone kepi, mundur w kolorze khaki i czarne buty. Miał opaloną skórę i duży brzuch. Dziarskim krokiem obszedł stół i wyciągnął z kieszeni jakiś papier.

– Znaleziono na placu Onze. Co to jest?

Max przeczytał krótki tekst napisany hebrajskimi literami.

– Żydzi – warknął żołnierz. – Co tym razem knują?

Szewc trzymał w rękach niewinną listę składników.

– Jakich składników?

Avelar zapalił papierosa, a Max z silnym akcentem odczytał:

– Czyteri buraki, dywa karytofle, kilo miensa...

– Buraki?

– ...śmietana. To przepis na barszcz, panie kapitanie.

Taka czerwona zupa.

– Czerwona? Komunistyczna?

– To przez te buraki.

Avelar zdjął kepi i przeciągle pogładził się po włosach. Był zmieszany, miał ochotę udusić tego bezczelnego żydka. A może najdzielniejszy kapitan policji, wielki patriota, odznaczony za liczne bohaterskie czyny, znawca wszystkich hymnów i sztandarów, miał się okazać tropicielem buraków?

Żeby wyjść z niezręcznej sytuacji, szewc zagadnął:

– Bardzo smaczna. Może być słona albo słodka, ciepła albo zimna...

Uderzenie pięścią w stół zamknęło sprawę.

– Chuj tam z zupą! Ciepła, zimna, słodka, słona...

Szewc już niemal zdobył się na westchnienie ulgi, kiedy kapitan zmienił ton:

– Kazałem pana wezwać z innych powodów, Maxie Kutter. – Chrząknięcia wprowadzające. – Nic poważnego, jest pan dobrym Żydem. Zresztą, to dlatego pana potrzebujemy. Widzi pan tego człowieka?

Wskazywał na Getúlia Vargasa.

\* \* \*

Wskazówki zegara zbliżały się do północy, kiedy Max wszedł do domu. Krążył bez celu po kocich łbach placu Onze, zastanawiając się nad rozkazem kapitana.

– Słyszał pan już o cenzurze korespondencji. Mamy tłumaczy, którzy sprawdzają pocztę we wszystkich językach i dialektach tej planety. Pracują bez wytchnienia dla dobra Brazylii. Pan posługuje się biegle żargonem żydowskim, prawda? Czy jest pan gotowy do patriotycznej misji?

Avelarowi chodziło o jidysz. Posługują się nim Żydzi z Europy Wschodniej, to zniekształcony niemiecki zapisywany alfabetem hebrajskim, od prawej do lewej. Przez tysiąc lat „dialekt” wykuwał się na peryferiach historii, z dala od uniwersytetów i władzy. W ostatnim stuleciu jidysz zaczął gościć na scenach i półkach księgarskich całego świata, ku przerażeniu tych, którzy widzieli w nim podły spisek, pajęczynę intryg przebiegłe utkaną przez Semitów, żeby zdobyć panowanie nad ludzkością. Nie było komunizmu, faszyzmu ani demokracji odpornych na „mojżeszowe niebezpieczeństwo”. Książki takie jak *Protokoły mędrców Syjonu* przestrzegały, że któregoś dnia Moskwa, Waszyngton i Berlin zegną karki przed wyznaniem i zwyrodnieniem tych brodatych mężczyzn, szwargoczących w jidysz i gardzących szynką.

Szewc przystał na „misję patriotyczną” z braku możliwości wyboru – co zresztą było pocieszające. Czy istnieje wina

bez wyroku? Gdyby odmówił przyjęcia misji, nie zabrakłoby załączników ani pieczętek pod jego niezwłoczną deportacją. Jednak niepokoiło go to wrzucenie do kotła historii, uczynienie z niego kukły w rękach możnych tego świata. Praca w policji oznaczała koniec przyjaznej rutyny, bez aspiracji i polemik. Od przyjazdu do Brazylii w 1928 roku Maxowi podobało się życie niczym trawa: poniżej linii strzału, choć okazjonalnie deptanego przez okoliczności. Unikał też dobrych rzeczy, wiedząc, że nawet najlepsze intencje mogą tylko wybrukować drogę do piekieł. Zdarzenie z lusterkiem było tego najlepszym przykładem.

Dzień mijał w spokoju, kiedy Roberto Z., wytworny mężczyzna, pojawił się w warsztacie, prosząc Maxa, żeby naprawił uchwyt walizki, w której chował arsenał towarów sprzedawanych od drzwi do drzwi: tkaniny, kosmetyki, pióra. W sumie, kolejny *klientelszik* walczący o przetrwanie na ulicach miasta. Szewc nie wziął pieniędzy od Roberta Z., a ten w zamian odwdzieczył mu się kieszonkowym lusterkiem, na którego odwrocie była emaliowana róża na porcelanie. Bardzo wdzięczny wyjaśnił:

– Spadek po teściowej, cenniejszy niż złoto!

Dwa dni później, przeglądając się w tym lusterku, Max ujrzał człowieka zmuszonego do naprawienia złego uczynku. Wiedział nie tylko, gdzie Roberto Z. mieszka, ale także z kim: Frida pewnie pobiła męża, spostrzegłszy brak lusterek. Nadeszła więc pora, aby wspomóc biednego sprzedawcę, zdecydował szewc.

Z anielskim uśmiechem zadzwonił do drzwi w dzielnicy Lapa.

– Co to jest? – zdziwiła się Frida. – Jak to trafiło w pana ręce?

– Pani mąż mi je dał...

Mina kobiety sprawiła, że Max zaczął wietrzyć kłamstwo: żaden spadek! Z ciarkami na plecach mruknął:

– Cóż, przepraszam, chyba się pomyliłem... Wszystkiego dobrego w Nowym Roku, pani Frido!

– *Szana Towa?! Jest marzec, panie Kutner!* – Przewróciła oczami, ręce złożyła na podołku. – Teraz rozumiem wszystko, wszystko, wszystko!

Max zdążył już odczuć ulgę, gdy Frida wyrwała mu lusterko i załomotała do sąsiednich drzwi.

– Natychmiast otwieraj, dziwko! Otwieraj, szmato!

Kiedy drzwi uchyliła jakaś blondyna, Frida cisnęła jej lusterko w twarz.

– Zostaw mojego męża, cholerna zdziro! Messalina!

A blondyna, zbierając skorupy, krzyczała:

– A więc to on mi je ukradł! Pierdolony złodziej! Moje lustreczko z Limoges!

Rezultat: Frida i dziwka w szpitalu. O Robercie Z. słuch zaginął.

Druga nad ranem, rozkaz kapitana Avelara wciąż dręczył szewca. Tylko jeden drobiazg ozdabiał pokoik: portret dziadka Szlomo, świętej pamięci doradcę. No dobrze, *zajde*, czy śledzenie pobratymców jest godne, czy niegodne? Co mędrcy mają do powiedzenia na ten temat? Szlomo uniósł palec, przypominając trzy rodzaje błędu, o których uczy się w szkole: świadomy, nieświadomy i wynikający z buntu. Max chwycił portret: a błąd z przymusu, *zajde*?

– Błąd z przymusu to nie błąd – wyjaśnił dziadek. – Jeśli nie ma złych intencji albo zaniedbania, po co siebie winić? To oni popełniają błąd poprzez ciebie.

Max się obruszył:

– No popatrz. Kto wiecznie narzekał na „wypełniających rozkazy”, którzy zabijali i kradli w imieniu cara? Kto zawsze nauczał, że sumienie odróżnia ludzi od bydła? Ilu bohaterów oddało życie, żeby inni nie błądzili poprzez nich?

Potrząsnął portretem.

– To znaczy, że wybaczasz temu rosyjskiemu żołnierzowi?

Szlomo zamilkł, cofając się do zimy 1915 roku. Wojna rujnowała Europę i Polacy uciekli na zachód. Rosjanie szykowali się do ataku na wioskę, ale zawzięty Szlomo zaparł się nogami w ziemi swojego urodzenia, gdzie modlił się przez osiemdziesiąt lat i gdzie miał zamiar ożenić wnuka. Krążył po opustoszałych ulicach, udając, że nie słyszy grzmotu dział, i narzekając na krajanów: „Gdyby Machabeusze byli takimi tchórzami, judaizm skończyłby się tyście lat temu!”. Któregoś razu Szlomo przysnął w pokoju i usłyszał dzwonek. Powitał rosyjskiego Żyda, który stał na progu, żołnierza jasnowłosego i piegowatego.

– *Szolem!* – pozdrowił go stary, rozplywając się w uprzejmościach, póki cios nie powalił go na ziemię.

Z podłogi trudno mu było zrozumieć furję, z jaką chłopak plądrował dom. Jedzenie, metale, ubrania, nawet popielniczki znalazły się w lnianym worku.

– *Gewalt!* – tylko tyle zdołał wykrztusić Szlomo. – Jak możesz zrobić coś takiego swojemu bratu?

W tej samej chwili Rebeka owdowiała.

\* \* \*

Centralny Komisariat Policji zajmował cały kwartał przy ulicy Relação, ze swoimi trzema piętami i żelaznymi bramami. To w tamtym miejscu major Filinto Müller dowodził elitarnymi wojskami wytrenowanymi

w nazistowskich Niemczech, żeby zwalczać „moskiewskie knowania”.

Przygnębiające krążenie po korytarzach przytłumiało krzyki w lochach, kiedy w eskorcie dwóch mundurowych Max wchodził po schodach. Skręcił w prawo, w lewo, wszedł i wyszedł nie wiadomo skąd, aż trafił do niewielkiego pokoju z kwadratowym stołem, krzesłem i nieustępliwym portretem Getúlia Vargasa.

– Na imię mam Onofre – odezwał się wychudzony chłopak z czarnym wąsikiem. Przyniósł paczkę z napisem „Argentyna”.

Onofre wyciągnął plik listów, ołówek i zeszyt w linie, wypełniany po portugalsku. Listy, które już zostały rozłożone i wyciągnięte z koperty, musiały być traktowane z maksymalną ostrożnością.

Max rozpoczął swoją „patriotyczną misję” listem datowanym w pampasach. Był prosty i zwięzły, jakiś rzeźnik prosił o wiadomości o synu. W następnym liście szczegóły małżeństwa na patagońskich kresach: ciasta, fujarki, karonki. Z jakichś zimnych bagien ktoś prosił o pieniądze w trzecim liście. Maxowi pot spływał po skroniach: „Co to ma wspólnego z niepodległością Brazylii? Po co śledzić niewinnych, mój Boże?”.

– Wygląda pan na zdenerwowanego – zauważył Onofre. – Na początku zawsze tak jest, później się pan przyzwyczai.

Max łypnął na chłopaka z lekką pogardą. Brazylijczycy nie nadają się do surowości koszar. Brak im postawy, kręgosłupa, chłodu. Nie żeby to było uspokajające. Przeciwnie, nieudaczni żołnierze mogą być równie niebezpieczni, co najgorsi Kozacy. Max otarł skronie, zastanowił się, poszukał spokoju, którego nigdy nie miał odnaleźć, choć

upływające dni złagodziły w nim poczucie winy – oraz niechęć do przyjmowania zapłaty w kopercie od policji.

Praca w komisariacie zajmowała mu dwa popołudnia tygodniowo. Wchodził i wychodził wbity w marynarkę i w kapeluszu, powierzając zakład pośpiesznie zatrudnionemu młodzieńcowi. Miał on uspokajać klientelę – „Nie, szewc nie jest chory!”. Obowiązkowy Max nad ranem, dręczony bezsennością, naprawiał buty i wspominał przeszłość.

Pewnego razu dziadek powiedział mu: „Jeśli słowo jest srebrem, to milczenie złotem”. Max zrozumiał to dopiero, kiedy skończył dwanaście lat. W wieku czternastu lat odważył się nie zgodzić z dziadkiem, twierdząc, że słowo to ani srebro, ani złoto, „albowiem milczenie skrywające głupoty skrywa również mądrości”. Jednakże porywy młodości miały krótki żywot. Po dwudziestce Max postanowił mówić i słuchać tylko tego, co konieczne, unikając spojrzeń insynuujących, uciekając przed nowinkami i sensacjami szeptanymi przy kontuarze warsztatu. Po co znać ostatnie plotki? Żadnych najnowszych plotek ani starszych czy najstarszych. Uwielbiał mieszkać sam i chciał, żeby tak zostało już na zawsze. Kobiety – tylko za pieniądze i o umówionej godzinie. Nie był też lasy na pochlebstwa. Po co silić się na wymuszony śmiech? Niech się śmieją *klientelsziks* ze swoimi walizkami rupieci i przekonujący ludzi do kupna rzeczy, których nikt nie potrzebuje, za pieniądze, które niewielu miało. Niech się śmieją obrońcy szalonych spraw, takich na przykład jak Państwo Żydowskie, które syjoniści mieli zamiar ustanowić na Środkowym Wschodzie.

– To fundusz Keren Kajemet LeIsrael – uśmiechała się dziewczyna, potrząsając niebieskawą metalową puszką.  
– Proszę się dolożyć do stworzenia Państwa Żydowskiego!



– Państwo Żydowskie? – Max uderzał młotkiem w obcas. – Co za idiotyczne mrzonki!

Dziewczyna zadrżała.

– Idiotyczne mrzonki? Tak pan mówi o Izraelu? Ben Jehuda wskrzesił język hebrajski, Tel Awiw się rozrasta, w Jeruzalem jest hebrajski uniwersytet i tysiące braci tworzą *alija*. A pan nazywa to idiotycznymi mrzonkami?

Max nie odpowiedział. A dziewczyna bardziej ciekawska niż zirytowana:

– Panie Kutner, czy pan w życiu o czymś marzył?

Nawet na nią nie spojrział.

– Żeby naprawiać buty.

Max nie był przystojny ani brzydki. Nosił białe koszule i czarne spodnie – po co więcej? Chociaż żał mu było, że jest łysy i ma przydeptany wygląd, łatwo do tego przywykł i żył, nikogo nie uwodząc. Miłość, nie ma mowy. Miłostki to tylko lont dynamitu. Najpierw chodziło się po placach, później do świątyni, żłobka, a na koniec do burdelu. Celibat był w sumie najlepszym skrótem prowadzącym na dziwki. Po zabawieniu się Max lubił przechadzać się nad morzem, wpatrzony w horyzont, pogodzony z samym sobą pływającym się w ciszy.

Wszak teraz, i dopiero teraz, w wieku 37 lat, przyszło mu do głowy, że może słowo to nie srebro ani złoto, ale wielkie złożo z kolorowymi nawarstwieniami.

Romantyczne albo trywialne, poważne albo frywolne – listy opowiadały o wszystkim: zdrowiu, odejściach, religii, pieniądzach. Urodziło się dziecko jakiejś kobiecie, ktoś inny przytył, naziści przedefilowali w Buenos Aires. Jakiś chłopak skarżył się na żonę bratu, któremu zresztą

szelma wyplakiwała się w innym liście. Młodzi cytowali Baudelaire'a, starzy Talmud. Miało się dużo albo mało, nigdy dość: bogatym brakowało miłości, kochanym bogactwa. Nikt nie był zadowolony. Szczerze mówiąc, ci, którzy mieli więcej, niż potrzebowali, byli właśnie tymi, którzy potrzebowali więcej, niż mieli. Każda dusza to oddzielny świat. Pojawiały się spokojne jeziora i wzburzone morza, szczyty i równiny. Kondycję ludzką przedstawiano w paragrafach, nierzadko z załączanymi puklami włosów albo dziecięcymi rysunkami. Czasem Max wpadał na rzeczy niejasne – ASBIB, LJ, HPS – wszystkie natychmiast zapisywane w liniowanym zeszycie. Zdanie złożone albo niespójne spotykał taki sam los. Jego zadaniem było tłumaczyć, a nie interpretować albo cenzurować. Wieczorem wychodził z komisariatu umiarkowanie zmęczony. Zanim wsiadł do autobusu, szedł do Chińczyka na placu Tiradentes i jadł paszteciki z podejrzanego mięsa, swoją potajemną namiętność.

Listy z Argentyny nie obniżały mu ciśnienia (samo Buenos Aires miało więcej Żydów niż cała Brazylia). Czasem Max próbował policzyć kolegów zajmujących się tłumaczeniem listów z reszty świata. Kto wie, czy jego klienci też tego nie robili? Według kapitana Avelara Stanami Zjednoczonymi i Europą zajmowała się pewna „komisja”, do której Max zostanie awansowany, jeśli będzie porządnie pracował. Ale dla tego szewca jedynym awansem byłoby odzyskanie wolności.

Czyż nie?

\* \* \*

*Aida* otwierała sezon liryczny w Teatro Municipal. Max przyglądał się jego witrażom i bogactwu wrót otwartych na

Cinelandię – Broadway Rio de Janeiro. Chodził po ulicach, wpatrując się w pełne bary i przyglądając się ekwilibrystyce kelnerów krążących w tłumie z tacami piwa. Elegancyści ludzie stali w kolejkach przed kinami, skąd zakochani wychodzili przytuleni, aby zajmować ławki na placu i gruchać jak gołąbeczki. W pobliżu znajdowały się teatry, lokale z bilar-dem, kawiarnie, w których gwiazdy mieszały się z publicznością, politycy spiskowali, dziennikarze zaś zapisywali ich słowa w notatnikach.

Max przystanął przed kinem Odeon, żeby obejrzeć afisz z Charliem Chaplinem. Legendarny włóczęga był miażdżony przez wielkie koło zębate jakiejś maszyny. Ogromnymi literami wypisano: *Dzisiejsze czasy*. Zaledwie kilka dni temu ktoś określił ten film mianem „komunistycznego pamfletu”, bo piął z kapitalizmu. Kto, kiedy?

Wieczór, 18.00, światło spływało z nieba do neonów, latarni, okien. Na szczycie Corcovado Chrystus przyćmiewał pierwsze gwiazdy i błogosławił splendor u swoich stóp. Stolica Brazylii rozświetlała się na jeszcze jedno przedstawienie, olśniewając ludzi z całego świata. Ale panowały tu nie tylko radość i gościnność. Rio było okrutne wobec tych, którzy nie dostosowali się do jego świątecznej aury. Te tańce w niczym nie przypominały matowych dni w Polsce, z powściągliwymi ludźmi i śniegiem do kostek. Pograżeni w tęsknocie rodacy próbowali odtworzyć Europę w klubach i barach placu Onze, słuchając muzyki i jedząc barszcz. Były to okopy szarzyzny obłożone przez wrzawę. Inni woleli puścić w niepamięć Stary Świat zachwyceni tropikami. Ludzie religijni postrzegali Rio z rezerwą, świadomi tego, że największe niebezpieczeństwo czyha w ślepych zaułkach, w ekumenicznej żądzy, którą od lutego do lutego wzmagął karnawał. Dobrze mówili iberyjscy kolonizatorzy:

na południe od równika nie ma grzechu. Duch różnorodności Brazylijczyków – tylko jego brakowało, żeby rozpuścić Naród Wybrany i wymazać z ziemi tysiące lat jego dziedzictwa. Żadne wojny i masakry nie zdołały dokonać tego, do czego radośnie doprowadziło pół tuzina Mulatek: osiemnaście rozwodów tylko poprzedniej jesieni! Dlatego swat Adam S. nauczał: „Wrogiem naszej wiary nie jest dyskryminacja. Przeciwnie, ona była naszym sprzymierzeńcem”.

W Lapie odszukał kobietę sprzedającą najlepsze ciastka kokosowe w Rio. Nieopodal, w Klubie Demokratów można było zjeść najdelikatniejsze i najlepiej przyprawione pieczyście. A jeśli ktoś miał ochotę na sztokfisz, powinien udać się do knajp na ulicy Inválidos i przy okazji spróbować ich domowych nalewek. W sumie, Max stał się specjalistą w sprawach barów, restauracji i straganów – nie dlatego, że w nich bywał, ale dzięki Carlosowi, kucharzowi z Nilópolis, który piekł własny chleb i wysyłał receptury do krewnych w Argentynie.

*À propos*, to niejaka Amalia W. krytykowała Charliego Chaplina i oglądała wszystkie hollywoodzkie premiery, katalogowała gwiazdy, porównywała ich grę, scenariusze, postaci i muzykę. Komentarze Amalii W. odnosiły się nawet do szczegółów technicznych, takich jak oświetlenie i ciągłość akcji, nakłaniając szewca do pierwszej w życiu wizyty w kinie.

Godzina 21.00, Max spacerował po bulwarze Glória. Był pogrążony w rozmyślaniach, pchnięty do roztrząsania natrętnych myśli, w jakie wbijały go listy. Na nic było pogardzanie sekretami pani Berty, jego starej klientki, ani kruchym zdrowiem *mobela*, który obrzezywał chłopców z placu Onze. Przestraszył się, gdy się okazało, że pretensjonalna

Rosa F. nie znosiła zięcia, przesądnego kupca, który miał jej zrobić trumnę. Ale już Izaak P. chwalił się bogactwem, chociaż nie miał. A biedna Helena, której los nie szczędził jedynie kłopotów? Była bardzo szczęśliwa. Z listu na list Max odkrywał tajemnice, błogosławieństwa krążące wokół przeklętych, przekleństwa krążące wokół błogosławionych. To samo zdarzenie zyskiwało różne wersje i twierdzenia, nie zawsze możliwe do obrony. Wielu przedstawiało rację, niekoniecznie mając rację. Róża, którą wychwalała Raquel, przerażała Samuela. A miłość, filtrowana przez prozę i poezję, bardzo rzadko była czymś więcej niż dwiema kompatybilnymi samotnościami, połączonymi świętymi więzami opresji.

Rzecz jasna, swat Adam S. tak nie uważał. Stał wyprostowany przy kontuarze Maxa i przeglądał swój album z dobrymi dziewczynami.

– Ta już ma sukienkę, brakuje tylko pana młodego. Ta owdowiała po raz trzeci, bardzo bogata – wyliczał i zaraz się oburzał: – Chcesz pan zostać kawalerem na zawsze? Chcesz pan, żeby ród żydowski wyginął, panie Kutner? „Rozmnażajcie się i napełniajcie ziemię”, to jest pierwsze przykazanie, czyż nie?

Max zwykle przepędzał tego człowieka wyzwiskami. Ta sama scena powtarzała się wieczorem, kiedy Adam S. zatruł już życie wszystkim zwolennikom celibatu z okolicy. Ale pewnego dnia zdarzyło się coś niesłychanego. Adam S. poczuł się zbity z tropu, widząc serdeczny uśmiech i kubek kawy na ulicy Visconde de Itaúna. Rozmawiali o błahostkach, podczas gdy Max oglądał dziewczyny. Nagle, zamykając album:

– Czy któraś z nich, przypadkiem, nie nazywa się... Hannah?

Adam S. podrapał się po brodzie:

– Nie wydaje mi się... Panna czy mężatka?

– Nie wiem.

– Wiele jest Hannah. Jaka jest ta Hannah?

– Nie wiem.

– Nie wiesz pan? Jak to pan nie wiesz?!

Max zamilkł. A swat po ponurej ciszy kontynuował:

– Nie myśl pan sobie, że ja jestem idiota, Maxie Kutner!

Czterdzieści lat na tym świecie czegoś mnie nauczyło. Jak tutaj którejś nie ma, to znaczy, że się nie żeni! – Chowając album: – Nie zapominaj o siódmym przykazaniu, dopóki jeszcze czas. Nie niszcz życia bliźniego swego!

Piękna, inteligentna, mądra, odważna. Guita nieustannie wychwalała siostrę w listach. „Nikt nie poznaje Ciebie przez przypadek, Hannah. A kto Cię poznaje, nie zapomina Cię. Jak możesz być tak cudowna?” W następnym liście Guita podkreślała: „Świat stał się lepszy, kiedy Ty się urodziłaś. Jeden komik tu, w Buenos Aires, mówi, że lepiej ożenić się z kobietą fizycznie znośną i duchowo przyjemną niż z fizycznie przyjemną i duchowo znośną. Ale jeśli ktoś poznał Ciebie, Hannah, nie ma takich dylematów. Ty jesteś wspaniała pod każdym względem”.

Hannah zachowywała raczej skromność. „Dziękuję za te czułości, kochana siostró, ale nie sądzę, żebym zasługiwała na takie zachwyty. Jak mawiają poeci, wartość jest w oczach patrzącego”. W dwa tygodnie później Guita nalegała: „Nie bądź taka skromna, Hannah! Wszystkich w sobie rozkochujesz. Twój pierwszy mąż kompletnie stracił dla ciebie głowę! Cóż, to już przeszłość. Opowiedz mi teraz o Josém. Gdzie go poznałaś, kim on jest, co robi?”. Hannah określiła narzeczonego jako człowieka „biednego, ale godnego”,

podkreślając, że wzięli ślub w urzędzie stanu cywilnego tylko dlatego, że w wieku trzydziestu czterech lat nie przystoją jej wianki i falbany. Poza tym prawo żydowskie nie pozwala na ponowne zamążpójście.

„Prawo żydowskie”? zdumiał się szewc. Dlaczego Hannah nie mogła wziąć ślubu w synagodze?

Gdyby Max był w Polsce, nie brakłoby ludzi, którzy zaspokoiliby jego ciekawość. W wioskach życie mieściło się w kilku nakazach, więc wzywano rabinów, żeby zapobiegali kłótniom albo je odsuwali, jeśli nie udało się przypieczętować pokoju. Każda społeczność miała swoich mędrców, wiecznie ślęczących nad pergaminowymi księgami. W Brazylii jednakowoż wszystko wyglądało inaczej. Religia wydawała się raczej kaprysem, dodatkiem, szczęśliwym kazaniem. Prawa tworzone w parlamentach, nie wiadomo, jak ani dlaczego, spiskowano i poprawiano je w gabinetach albo w hotelowych barach. Niewypełnianie ich nie wzbudzało poczucia winy, tylko powodowało problemy biurokratyczne, mandaty, sądy, więzienia.

Max przechadzał się po wybrzeżu Flamengo, rozmyślając nad niedorzecznościami współczesnego życia, a bryza pokrywała mu usta solą. Niterói mieniło się światłami po drugiej stronie zatoki Guanabara. Kutry rybackie znaczyły ogrom tych samych wód, które on kiedyś przemierzył.

Rok 1928. Motorówka podpłynęła do transatlantyku nieopodal Głowy Cukru. Krajobraz był bardziej kolorowy niż witraże w synagodze w Katowicach. „Policja!”, ktoś krzyknął na pokładzie. Z paszportami w rękach pasażerowie stanęli rzędami. Max chciał rzucić się do wody, modlić się, zniknąć. Władza wertowała książeczki, sprawdzała fotografie, dyskutowała w tym dziwnym języku. Czasem

czepiali się tego czy owego i odprowadzali ich do oddzielnych pomieszczeń. Max zaciskał zęby, kiedy zagadnięto go w bezbłędnym i niespodziewanym jidysz:

– Żyd?

– Tak.

– Paszport.

Przeglądając dokument:

– *Szolem*, panie Kutner. Rodzina, przyjaciele w Brazylii? Nikogo.

– Jakież pieniądze, plany?

Nic. Mężczyzna dał mu kartkę: Relief.

Zanim przybili do nabrzeża, pasażerowie zostali zabrani na Wyspę Kwiatów i przebadani przez Departament Zdrowia. Otwierali usta, ramiona i nogi przed gorliwymi egzaminatorami w białych kitlach. Dwie rodziny zostały skierowane na kwarantannę. Dzięki Bogu Max nie miał problemów, więc niebawem stanął na nowym kontynencie, osłupiały z zachwytu, zanurzony w tłumie na nabrzeżu Praca Mauá, aż dojrzał napis „Relief”. Został zawieszony samochodem do domu na placu Bandeira, gdzie zaskoczyła go uczynność rodaków z ich archiwami, kuframi i maszynami do pisania. Była to organizacja żydowska pomagająca nowo przybyłym, znanym jako zieloni. Zapytano go o zawód, wiek, stan cywilny. W niecałą godzinę znaleźli mu hotel w dzielnicy Estácio, wręczyli mu pieniądze i ulotkę z podstawami portugalskiego, żeby się ich nauczył w samym Relief. W następnym miesiącu Max zatrudnił się w warsztacie jednego rodaka, a w trzy lata później kupił już warsztat na ulicy Visconde de Itaúna.

Mimo trudności społeczność miała kluby, bary, biblioteki, a nawet rywalizujące ze sobą frakcje z własnymi synagogami, do których jedni nie wchodziłi, oraz gazety, których drudzy nie czytawali. W barach dysputy królowały do rana,



bo każdy chciał zbawić świat na swój sposób. Typowe grupki krążyły po ulicach: rabini, matrony, *klientelsziks*, swatki, a nawet pogardzane prostytutki – pospolicie zwane *polacas*\*. Po raz pierwszy w życiu Max zobaczył sefardyjczyków, z ich zwyczajami i synagogami, biegle władających dialektem hiszpańskim o nazwie ladino. Zręczni kupcy pomagali domokrańcom aszkenazyjskim i oddawali im w komis tkaniny, które ci sprzedawali, chodząc od drzwi do drzwi. Byli Żydzi na najdalszych peryferiach, wtłoczeni w wiejskie chałupy. Lepiej sytuowani mieszkali w apartamentach w dobrych miejscach i spędzali lato w bungalowach na piaszczystych przedmieściach Ipanemy i Leblon.

Można powiedzieć, że plac Onze był sercem społeczności, ale nazywanie go żydowskim gettem ocierało się o kłamstwo. Żyli tam Włosi, Portugalczycy, Libańczycy, a nawet Brazylijczycy. W pobliżu znajdowała się stacja kolejowa Central do Brasil, z tłumem przyjezdnych i wyjeżdżających. W oddali Wzgórze Providência skupiało baraki, place makumby, pokątny handel. Dzieciaki o najróżniejszym kolorze skóry i pochodzeniu biegały po ulicach, bawiąc się hula-hoop, grając w piłkę nożną i wrzeszcząc w swoim esperanto. Plac, który dał nazwę dzielnicy – ochrzczony tak na cześć bitwy u ujścia Riachuelo, która wydarzyła się 11 czerwca 1865 roku podczas wojny paragwajskiej – miał ogrody, altanę i fontannę, a domy upiększały okolicę barwami pasteli i kamienia. Zielone góry falowały na horyzoncie, ocieniając doliny i własne podstawy, spowite chmurami rozmazującymi zbocza i na nowo malującymi pejzaż. Tak się odkrywało okolicę, odcienie, chwilowy splendor.

---

\* Słowo „Polka” w języku portugalskim to *polaca* (l.mn. *polacas*), a w odmianie brazylijskiej to *polonesa* (l.mn. *polonesas*), natomiast słowo *polaca* oznacza w Brazylii prostytutkę (przyp. tłum.).

Czasem Max musiał stawiać się w zapleśniałych urzędach, żeby aktualizować papiery emigracyjne, podpisywać formularze i by pobrano od niego odciski palców. Zwykle formalności. Przecież w raju też muszą panować jakieś zasady.

\* \* \*

*Buenos Aires, 3 stycznia 1937 roku*

*Hannah,  
jak Twój narzeczony zarabia na życie? Pytałam Cię już o to kilka razy! I nie wyjeżdżaj mi z unikami typu: „nie ma to znaczenia” albo „chcę tylko spokoju”. To ma znaczenie! Jakbyś nie wiedziała, spokoju nie znajdziesz w biedzie. Jesteś słiczna, inteligentna. Zaslugujesz na hollywoodzkiego gwiazdora!*

*Josef go lubi?*

*Twoja kochająca Guita*

\*

*Rio de Janeiro, 21 stycznia 1937 roku*

*Kochana Guito,  
po co rozmawiać o moim narzeczonym? Nie zmuszaj mnie do wyjaśniania tego, czego nawet sama sobie nie jestem w stanie wyjaśnić. José to dobry chłopak i kropka.*

*Dużo pracowałam. Sprzedaż bożonarodzeniowa była świetna i patron mówi o otwarciu filii. (...)*

*Josef chodził przygnębiony, ale już mu lepiej.*

*Całuję, Hannah*

\*

*Buenos Aires, 15 lutego 1937 roku*

*Och, Hannah, gdybym mogła Cię odwiedzić! Ale muszę zostać w Argentynie przy mężu. Jutro wyjeżdżamy do naszej fazendy nieopodal Rosario. Zbiory kukurydzy i pszenicy nie wyszły tak, jak się spodziewaliśmy. Jayme zastanawia się nad kupnem ziemi w São Paulo, chce zainwestować w uprawę kawy i pomarańczy.*

*(...)*

*Przysięgam, że staram się Ciebie zrozumieć! Nie myl przyzwoitości z biedą, Hannah! Istnieją przyzwoici bogacze, tak samo jak biedni nieprzyzwoici! Wiem, że dla Was przyzwoitość jest konieczna, ale nie zawsze to, co konieczne, jest wystarczające. Dlatego odpowiedz mi wreszcie, jak José zarabia na życie, i przestań to ukrywać!*

*Twoja Guita*

\*

*Bardzo łatwo jest oceniać, nic nie rozumiejąc, Guito.  
Trudniej jest zrozumieć, nie oceniając.*

*Hannah*

Polub nas  
na Facebooku 

**KUP TERAZ**



swiatksiazki.pl



## Ronaldo Wrobel

urodził się w 1968 r. w Rio de Janeiro. Jest pisarzem, scenarzystą i prawnikiem, autorem kilku powieści i zbiorów opowiadań. Regularnie pisuje do magazynu „Menorah”. Pochodzi z rodziny o żydowskich korzeniach, jego przodkowie przybyli do Brazylii z Europy Wschodniej. Największy sukces odniosła jego powieść *Tłumacz Hannah*, która została przetłumaczona na języki hiszpański, francuski, włoski, niderlandzki, niemiecki i hebrajski. Sprzedane zostały także prawa do jej ekranizacji.

„Arcydzieło, książka mądra i wzruszająca. Wspaniale się czyta”.

PEREGRINA CULTURAL

„Subtelny humor, nostalgia i zamilowanie narratora do opowieści sprawiają, że czytanie tej książki to prawdziwa przyjemność”.

BUCH MAGAZIN

## Tłumacząc Hannah

Max Kutner przyjechał do Brazylii z Polski w latach trzydziestych XX wieku i był szewcem w portowej dzielnicy Rio de Janeiro. Kiedy nowy dyktatorski rząd postanowił kontrolować zagraniczną komunikację, poszukując szpiegów i sabotażystów, policja zmusiła Maxa do tłumaczenia z jidysz na portugalski korespondencji żydowskich imigrantów. Tłumaczenie Hannah, jej mądrych, podnoszących na duchu listów, które pisze do swojej siostry Guity w Buenos Aires, wywraca życie szewca do góry nogami. Jedyne, czego teraz pragnie zakochany mężczyzna, to odnaleźć dziewczynę z listów i marzeń.

Poszukując Hannah, Max przeżyje przygodę pełną zaskakujących zwrotów akcji i otworzy oczy na świat, w którym nikt nie jest tym, za kogo się podaje. W końcu wszyscy bohaterowie tej niezwyklej historii, uwięzieni w politycznym i rodzinnym chaosie, między policją a prostytutką, rozpaczą a humorem, zrzucą maski i odkryją przed Maxem skomplikowaną prawdę o życiu na emigracji.

**Piękna powieść o miłości i tożsamości, w ciekawy sposób przedstawiająca mało znaną historię żydowskich imigrantów w Ameryce Południowej**

[www.bukowylas.pl](http://www.bukowylas.pl)

Polub nas  
na Facebooku



Nr 21000004

ISBN 978-83-8074-318-2



9 788380 743182

Cena 36,90 zł

(w tym VAT)

*Ademaiselle Mathilde*

